

Wysiedlenia dokonywane przez naszych zachodnich sąsiadów.

Aby zrozumieć istotę wysiedleń Polaków z ziem zachodniej Polski należy koniecznie sięgnąć w głąb historii, do bardzo zamierzchłych czasów. Pierwsze zmagania narodu polskiego z plemionami germańskimi przeżywał już Bolesław Chrobry. Historia notuje również twórcę hasła DRANG NACH OSTEN (parcie na wschód), **Henryka Lwa**, frankończyka, 1129 - 1195, księcia Bawarii i Saksonii, któremu za ciasno było w poddanych sobie krainach, więc szukał rozszerzenia swojego władztwa. Do jego idei wracało całe germańskie plemię wielokrotnie, o czym będzie dalej.

W wieku XIX Prusami rządził kanclerz Otto von Bismarck, który biorąc wzór swoich poprzedników, przeforsował w pruskim parlamencie t.zw. bismarckowskie ustawy wymierzone jednemu celowi - wyparciu Polaków z Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Wówczas to na nowo odżyła kontynuacja Parcia na Wschód, po ichnemu Drang nach Osten. Jedną z konsekwencji bismarckowskich ustaw były zanotowane w historii RUGI PRUSKIE. Miały one za cel wypędzenie z Wielkiego Księstwa Poznańskiego wszystkich Polaków urodzonych poza tym terenem. Oczywiście, wraz z ich rodzinami. Wypędzono wówczas około 40,000 osób. Nie znaleziono nawet pobłażania dla Polaka, który w prawdzie urodził się poza ówczesną granicą Księstwa, ale zdobył w Niemczech wykształcenie i został zawodowym oficerem w pruskiej armii. Fakt Rugów Pruskich znalazł odzwierciedlenie w polskiej literaturze i sztuce. Okres bismarckowskich rządów, jak i rządów następców Bismarcka nosi nazwę KULTURKAMPF - walka z kulturą, oczywiście, polską kulturą.

Ale nie na tym kończy się pakiet bismarckowskich ustaw. Po upadku Powstania Styczniowego miał miejsce t.zw. Proces Berliński, w którym skazano stu kilkudziesięciu Polaków, ziemian Księstwa, za udział w Powstaniu, na konfiskatę majątków. Wówczas to wśród wywłaszczonych znalazł się mój pradziadek Franciszek Banachowicz, właściciel wsi Kajewo na Ziemi Pleszewskiej. Konsekwencją wymienionych ustaw było również nie wydawanie Polakom zezwoleń na budowę domów. Sytuacja tego posunięcia prowadziła do tego, że Polacy musieli szukać pracy we Francji i Westfalii. Pracę w Księstwie Polak mógł łatwo znaleźć, ale nie było gdzie mieszkać. Odsyłam tutaj do silva rerum ziemianki Jasiockiej, opisanej w książce Marianna i Róże. Autorki Janina Fedorowicz i Joanna Konopińska - Instytut Wydawniczy Pax 1977. W okropnym stanie znajdujące się tak zwane czworaki dla ludzi pracujących w majątkach ziemskich, nie zostały jeszcze w latach trzydziestych dwudziestego wieku zastąpione nowymi, godnymi na

zamieszkanie w nich ludzi, domami.

Mój dziadek, po kądzieli, Sylwester Szczepski, mógł wybudować w Śremie młyn parowy, gdyż młyn to nie był dom mieszkalny, ale domu mieszkalnego wybudować nie mógł. Znalazł takie wyjście, że kupił stary, wymagający remontu dom, na którego remont zezwolenie otrzymał. Nielegalnie pod remontowanym starym domem wybudował piwnicę, w której urządzono kuchnię. Ten domek, do dzisiaj istniejący, był zbyt ciasny, ale nowy, zaspokajający potrzeby licznej rodziny dom, mógł postawić dopiero, gdy Polska odzyskała niepodległość. W starym domku, o którym wyżej, znalazły się nieodzowne dla funkcjonowania młyna biura.

Dalej, w myśl bismarckowskich ustaw była walka z językiem polskim w szkołach, Kościele, urzędach. Znów muszę przypomnieć literaturę okresu zaborów. Maria Konopnicka napisała wiersz „Chodziły tu Niemce”, napisała też „Rotę” a Bolesław Prus „Placówkę” i t.d. To nie jedyne polskie dzieła ówczesnej epoki.

Na przełomie XIX i XX wieku wznoszono w sercu Poznania zamek cesarza Wilhelma II. Na ścianach szczytowych tej budowli postawiono wykute w kamieniu lwy, zwrócone w kierunku wschodnim, które miały Prusakom przypominać hasło rzucone przez Henryka Lwa – Drang nach Osten. Te posągi przetrwały aż do roku 1945, kiedy to komuś, komu wydawało się, że z historii można coś wymazać, kazał je zniszczyć. Wyrządzono tym posunięciem wielką szkodę, gdyż lwy winny wszystkim pokoleniom Polaków o hasła Henryka Lwa przypominać i wskazywać na wiecznie istniejące z Zachodu zagrożenie.

Dręczony Naporem na Wschód lud wielkopolski, gdy nadeszła do tego korzystna pora, chwycił w 1918/1919 za broń i tylko dzięki wspaniałej, genialnie przemyślanej taktyce, powstanie wygrał.

Oslabiona zaborami Polska dźwigała się gospodarczo, ale nie można było w ciągu dwudziestu lat wszystkiego zrobić. Zamieszkujących na polskich ziemiach Niemców nikt nie wypędzał. Do Niemiec przenieśli się tylko ci, którzy stracili rację bytu w Polsce, jak urzędnicy nie znający polskiego języka, zawodowi wojskowi, nauczyciele. Tym Niemcom, którzy pozostali, nikt życia nie uprzykrzał. Niemcy posiadali w Polsce dobrze prosperujące przedsiębiorstwa i fabryki, posiadali w dalszym ciągu pochodzące z konfiskaty majątki ziemskie. Niemcy mieli własne szkoły, zbory, wydawali własne czasopisma. Ci Niemcy, którzy znali język polski, byli nawet zawodowymi oficerami w polskiej armii.

W mieście, w którym urodziłem się, Lesznie, był duży młyn, którego właścicielem była spółka Schneider & Zimmer. Sto metrów dalej miał

swoje przedsiębiorstwo Niemiec Rudolf Łaska. W innym miejscu miał jakieś przedsiębiorstwo Niemiec Neumann. W Lesznie był kościół luterański, kościół kalwiński, był też kościół Braci Czeskich. W Lesznie było gimnazjum z językiem wykładowym niemieckim, którego uczniowie odróżniali się na ulicy swoimi czapkami. Wychodził niemiecki dziennik Lissauer Tagesblatt. Było mnóstwo kupców i rzemieślników – Niemców.

Do szkoły powszechnej, tak nazywała się wówczas, obecnie nazywana szkołą podstawową, uczęszczałem w Śremie. W klasie mieliśmy Niemca, ewangelika, którego ojciec był ogrodnikiem w majątku Krzyżanowo.

Właścicielem tego majątku był Niemiec Delhaues Guenther. Nikt naszemu koledze Niemcowi nie robił jakichkolwiek przykrości, Nazywał się Richard Kuhnt. Pozostali koledzy byli Polakami, ale w czasie okupacji okazało się, że dwóch z naszych polskich kolegów, noszący polskie nazwiska, jest Niemcami byli to t.zw. Volksdeutsche. Jeden nazywał się Kozielczyk, drugi Nitecki. Obu wchłonął Wehrmacht.

Niemcy, będący klientami młyna, w biurze byli obsługiwani po niemiecku, zgodnie z dewizą „nasz klient nasz pan.”

Gdy w dniach poprzedzających wybuch II Wojny Światowej 15 Pułk Kawalerii zajął nam jeden biurowy pokój na swoją kancelarię, pracował w niej jeden ułan, Niemiec, pracownik niemieckiego Banku Komercyjnego w Poznaniu.

W dwudziestoleciu międzywojennym ukazały się dwa dzieła, których nikt z rządzących nie tylko Polską, ale i wszystkimi krajami Europy nie chciał czytać, to Mein Kampf Adolfa Hitlera i drugie dzieło Romana Dmowskiego. Wszyscy rządzący uważali, że cóż to mądrego mógłby napisać jakiś malarz. A przecież ów malarz wyłożył swój program powiększenia dla narodu niemieckiego przestrzeni życiowej „Lebensraum” i skolonizowania Wschodu. Tym ujął swoich ziomków i tym ich zachęcił do pójścia za sobą. Zaś, gdyby ktoś z rządzących Polską przeczytał Dmowskiego i zadziałał według jego wskazań, to znaczy dźwignął gospodarczo nasze ziemie wschodnie i je z resztą kraju zintegrował, tak łatwo nie udałoby się Związkowi Radzieckiemu ich zawładnąć.

W kierunku integracji działał trochę, mający wśród narodu postać Józef Piłsudski, który sprawił, że pobrani do wojska mieszkańcy Wileńszczyzny, Polesia, Wołynia i Podola odbywali służbę wojskową w Wielkopolsce, na Pomorzu i Śląsku, a mieszkańcy dzielnic zachodnich służyli w wojsku na Wileńszczyźnie, w Baranowiczach, czy Podolu. To jednak nie wystarczało.